



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z dumań zimowych.

I.

Snieg mgłą gęstą w okna pruszy,
Spowił ziemię niby w płótno —
Cicho wkoło, tylko w duszy
Tak mi tęskno, tak mi smutno.

Promień słońca z chmury łona
Ledwie wyjrzy, znowu zniknie,
Ale dusza utęskniona,
Śnić o blaskach nie odwyknie:

Melancholią wечно chora,
Jakieś złote mary roi —
I tak codziem, co wieczora,
Wspomnieniami wciąż się poi.

Szybko, szybko mrok zapada,
Kołysankę wiatr mi śpiewa,
Na stoliku lampa błada
Słabe światło wkrąg rozsiewa —

Sen powieki skleja wczesnie,
Wiatr po szybach sennie dzwoni;
Wpół na jawie, nawpół we śnie,
Myśl zjawiska cudne goni.

Zostawiwszy pokój ciasny,
Wielką przestrzeń nagle zmierzy —
Coś wymarzy i uwierzy
W wymarzony sen ten własny.

II.

Wkrąg tak cicho, jednak zdala
Jakieś echa, dźwięki słyse —
Złoty wspomnień cicha fala
Rozmarzoną myśl kołysze.

I co dawno spi już w grobie —
Przed oczyma duszy staje;
W dawnej krasie i ozdobie
Witam szczęścia piękne kraje!

Ach—znów słyse śpiew uroczy,
Wraz z muzyką w takt się wije —
Ach—znów widzę czarne oczy —
Wiem czyj głos to, czy czyje!

Nowem szczęściem serce wzbiera,
Snu od jawy nie odróżnia, —
Wtem śpiew zcicha, sen umiera...
Znów wysnionych złudzeń próznia!

Przebóg! widzę trumnę białą
I ubrane w kwiaty wieko —
W nią złożono martwe ciało,
Poniesiono gdzieś daleko...

I z trumienką tą zabrano
Ten srebrzysty głos uroczy,
Zimnym piaskiem zasypano
Takie piękne, czarne oczy!

Gdzie się mogił sto piętrzyło
Oto jedna znów wzniesiona,
I krzyż czarny nad mogiłą
Wszere rozpostarł swe ramiona!

III.

Śnieg mgłą gęstą w okna pruszy,
Spowił ziemię niby w płótno —
Cicho wkoło—tylko w duszy
Tak mi smutno, ach, tak smutno!

Tęskna pora zimy minie,
Ziemia w kwiaty znów porośnie,
W wszechnaturze znów popłynie
Powitalny hymn ku wiosnie.

Zawsze strojna ta królowa,
Z rokiem każdym tu przybywa,
Wciąż ta sama i wciąż nowa —
Nie tak z ludzkim sercem bywa.

Gdy cień smutków jak śnieg padnie,
Minie serca wiosna złota,
Nieustanna wnet tęsknota
W biednej duszy spocznie na dnie.

Jak śnieg smutek nie stopnieje,
I bez śladu łyzy nie spłyną,
Zagrzebane w grób nadzieje
W nowy kłos się nie rozwiną.

Cóż że wiosna znów zawita,
W nowe wieńce róż porośnie —
Już jej serce nie powita
Jak witało wprzód radośnie!

Mieczysław Gliński.

ELIZA ORZESZKOWA.

(Dokończenie).

Wrażliwa niesłychanie na wszelkie zjawiska i prądy w życiu społecznym autorka nie pozostała także obojętną wobec tu i ówdzie ukazujących się pojedynczo objawów fermentu, bynajmniej nie spowodowanego potrzebami ogółu, a będącego tylko naleciałością skądinąd. W powieści p. t. *Sylwek Cementarnik* wskazała Orzeszkowa okoliczności, wśród których najłatwiej ów ferment działa, i grunt, najpodatniejszy do przyjęcia pewnych teoryj, zaś w nowelce *Widma* położyła nacisk na krzywdę, którą nam one wyrządzają, wyrывая z grona społecznego jednostki zacniejsze i energiczniejsze. Sylwek, syn nieznanego ojca, porzucony przez własną matkę, rośnie w poniewierce wśród nędzy materialnej i umysłowej, a widząc dostatki innych, dochodzi do przekonania, iż wyrządzono mu straszną krzywdę, więc, jako natura gwałtowna, wre, burzy się i pała nienawiścią ku tym, dla których los łaskawszym się okazał; a nienawiść ta potęguje się jeszcze w połączeniu z pragnieniem zemsty, gdy dowiedział się, że ojciec jego jest bogatym panem, cieszącym się niezamąconym szczęściem rodzinnym. Na tak przygotowanym gruncie łatwo przyjmują się teorye Tomasza Kępy, głoszącego idee równości i powstającego przeciw niesprawiedliwości społecznej. Człowiek ten nie występuje w powieści bynajmniej jako typ zwykły podobnego rodzaju ludzi, przeciwnie: widzimy w nim wyjątkowy okaz maniaaka bez nauki i nawet w wielu razach bez zdrowego rozsądku; jest to indywidualum z natury dobre i pełne zacnych pragnień, ale przejęte teoryami, których nie rozumie dobrze i które w głowie jego tworzą dziwaczny zlepek różnych idei, mogących trafić do przekonania tylko zwykłej gawiedzi. Sylwek pod wpływem swego mistrza napada w nocy na dom ojca, chcąc zrabować i zniszczyć wszystkie jego kosztowności i pieniądze, dzięki czemu ostatecznie dostaje się do więzienia.

W *Widmach* ofiarą tych teoryj pada już nie jednostka ograniczona, nie mająca wyobrażenia o obowiązkach społecznych, ale dwoje ludzi młodych, należących do inteligencji: syn urzędnika i wnuczka niegdyś obywatela zamożnego, który usiłował w jej piersi zaszczerpić miłość przeszłości i uczynić z niej pożyteczną pracownicę dla swego ogółu.

Wogóle Orzeszkowa, potrącając o powyższą kwestyę w obu tych utworach, lub też w kilku innych powieściach szkicując dorywczo osobniki jej hołdujące, rozważa ją tylko w stosunku do swego społeczeństwa, a więc skutkiem tego traktuje ze strony ujemnej i bynajmniej nie wyczerpująco, bowiem nie szło tu autorce wcale o dokładną charakterystykę tego prądu, a jeno, jak i Kraszewskiemu w *Szalonej*, o wykazanie jego wpływu zgubnego na niebaczną jednostki, lecące w przepaść na oślep.

Kreśląc w swych powieściach wszystkie stany społeczne (obywateli wiejskich, szlachtę zaściankową, chłopów, żydów, mieszczan), Orzeszkowa nie pominęła także i arystokracji, której poświęciła całkowicie jedną powieść. Wprawdzie już w *Pamiętniku Wacławy* mamy wybornie skreślonych kilka typów wielkiego świata, następnie w *Pierwotnych* widzimy świetną postać wiecznie przesiadującej za granicą arystokratki, postać wielce oryginalną i z tak wielkim artyzmem uwydatnioną, że można ją śmiało zaliczyć do pierwszorzędnych typów pod względem artystycznego wykonania w utworach naszej autorki; atoli są to tylko osobniki pojedynczo skreślone, nie składające się jeszcze na uwydatnienie ogólnych cech i idei, dotyczących się tej warstwy społecznej. Dopiero w *Pompalińskich* widzimy obszerniej malowany obraz arystokracji rodowej i przebijającą się w nim kwestyę racyi

jej bytu w przyszłości. Już Kraszewski w dwóch swoich wybitniejszych powieściach: *Moritur* i *Resurrecturi* szczegółowo i wszechstronnie badał tę kwestyę, a rozpatrzywszy dodatnie i ujemne strony arystokracji, ostatecznie doszedł do wniosku, że wobec nowych warunków i prądów społecznych może ona istnieć w przyszłości, atoli pod warunkiem, że się otrząśnie ze swych przesądów kastowych i zastosuje się do nowych wymagań czasu. Orzeszkowa nierównie pesymistyczniej zapatruje się na arystokrację i w możliwość jej odrodzenia się nie wierzy. Wrażenie, które czytelnik otrzymuje po przeczytaniu *Pompalińskich*, jest całkowicie ujemne: osobniki ze sfery arystokratycznej, występujące w tym utworze, niestety, nie dają najmniejszej rękojmi na przyszłość, bowiem są to ludzie podobni do drzewa, którego wszystkie korzenie uschły i które temsamem, pozbawione wszelkich soków odżywczych, powoli próchnem się staje. Czytelnikowi, nieświadomemu stosunków wśród tej warstwy społecznej, występującej w *Pompalińskich* bohaterowie i bohaterki mogą się wydać karykaturami, ukazującymi się w oświeceniu zgoła nieprawdziwem, a stanowisko autorki wobec nich całkowicie stronnem; atoli kto miał możność przypatrzeć się bliżej życiu arystokracji i poznać wnętrze jej ducha, kto rozważy jej obecny stosunek do ogółu, jej postępkę rozgłosne nieraz, ten nie pomówi Orzeszkowej o przesadę i, zważywszy obecne prądy społeczne, będące wynikiem naturalnych praw rozwoju ogólnego, zgodzi się z tem, że są to ludzie morituri.

Osobny dział w pracach naszej powieściopisarki stanowią utwory na tle przeszłości dziejowej osnute; do nich należy zbiór nowelek pod ogólnym tytułem *Stare obrazki*, następnie utwór dyalogowany p. t. *Westalka* i nakoniec dwie większych rozmiarów powieści. Pierwsza z nich p. t. *Mirtala* maluje nam położenie żydów w Rzymie starożytnym wkrótce po skończeniu wojen za Wespazyana i odznacza się z jednej strony wielkimi zaletami artystycznymi, żywością opowiadania i wielką kolorystyką, a z drugiej głębiokością myśli, które doskonale dadzą się stosować i do naszych czasów. Druga powieść historyczna p. t. *Czciciel potęgi*, której bohaterem jest lidyjczyk, czczący potęgę monarchii perskiej, mniej niż poprzednia posiada barwę efektownych, a natomiast odznacza się wielką siłą tragiczności, nie tak potężnej wprawdzie, jak w *Meirze Ezołowiczu*, ale bądźco bądź wywołującej wielkie wrażenie w duchu czytelnika.

Wogóle atoli historyczne powieści Orzeszkowej schodzą na drugi plan wobec współczesnych jej utworów, a to dlatego, że właściwie nie odpowiadają całkowicie tym warunkom, którym każda powieść historyczna powinna czynić zadość, t. j. nie mają możliwie wiernego tła epoki, atmosfery i ludzi tych czasów zamierzchłych, które intuicyja poety wsparta wiedzą odtwarza. Właściwie Orzeszkowa, pisząc powieść historyczną, nie ma na celu jedynie tylko dokładnej charakterystyki przeszłości; kreśląc sceny pojedyncze nieraz niezmiernie barwnie i ze znajomością przedmiotu, przedewszystkiem ma ona na myśli terażniejszość i swoje społeczeństwo; więc idzie jej tu raczej, jak i w powieściach współczesnych, o wypowiedzenie pewnych prawd życiowych i o wykazanie praw naturalnych, którym zawsze i wszędzie duch ludzki ulegać musi. Dzięki temu właśnie możemy zawsze w historycznych utworach naszej autorki dopatrzeć ogniw, łączących je z terażniejszością, a zwłaszcza w *Starych obrazkach*, których tło starożytne jest użyte jeno jako grunt do wypowiedzenia myśli, dotyczących się naszych czasów, są one tedy poniekąd alegoryami, w których idee i nastroj duchowy terażniejszości stoją na pierwszym planie.

Takimi są w ogólnym zarysie wybitniejsze typy i charaktery, a nadewszystko ważniejsze kwestyę, uwydatnione i rozwiązywane w utworach znakomitej powieściopisarki, liczącej już trzydzieści lat ciężkiej i bardzo pożytecznej pracy, której najwybitniejszą cechą jest nie słabnąca ani na chwilę wiara głęboka w żywotność społeczeństwa, a temsamem i w jaśniejszą przyszłość jego. W jednej z najnowszych swych

powieści p. t. *Australczyk*, kreśląc duchowe przeobrażenie się swego bohatera, autorka malowniczo zarysowuje przed nami scenę w kościele, gdy Darnowski wobec zgromadzonego ludu, modłów kapłańskich i wizerunku Chrystusa doznał uczucia, jakby „własne jego serce wchodziło w inne, ogromne bardzo, wypełniające sobą kościół od dołu do szczytu; to małe serce łączyło się z tem ogromnem, razem z niem uderzało, płonęło.“ Niewątpliwie taką samą chwilę epokową w swem życiu, a wielką i świętą przechodziła autorka w kilka lat po zamążpójściu, gdy, cofnąwszy się w głębie własnego ducha, poraz pierwszy może uczuła, że serce jej „wchodzi w inne, ogromne bardzo“ i poczyna z niem razem uderzać i płonąć. Od tej pory stała się ona wierną społeczeństwa swojego służebnicą i przewodniczką, dzieląc jego radości i smutki, wnikać we wszystkie jego potrzeby i podając mu skuteczne na choroby ducha lekarstwo.

Na zakończenie należy kilka słów powiedzieć i o stronie artystycznej utworów Orzeszkowej. Pod tym względem są one różnej wartości: pochodzące z pierwszych lat działalności powieściopisarskiej naszej autorki są wogóle wykonane wadliwie, a ogólną ich wadą jest brak akcy i plastyki, brak dyalogów naturalnych, z których możnaby było urobić sobie pojęcie o charakterze występujących osób, a natomiast przemawianie zbyt częste samej autorki, wygaszającej wprawdzie wiele pięknych myśli bezpośrednio lub przez usta swych bohaterów, ale za słabo przeprowadzającej akcyę, z której właśnie sam czytelnik powinien wyprowadzać wnioski i odgadywać charaktery działających osób. Prócz tego i same postaci w niektórych powieściach szwankują pod względem prawdy psychologicznej, a to dlatego najczęściej, że są one naginane do tych myśli, które autorka pragnie w utworze swym wypowiedzieć. Do takich, słabszych pod względem wykonania prac należy pierwszy drukowany utwór: *Obrazek z lat głodowych*, następnie *Ostatnia miłość*, *Cnotliwi*, *W klatce*, *Wesoła teorya i smutna praktyka*; jednakże już w *Pamiętniku Wacławy* widzimy ogromny postęp pod względem artystycznym, tu już zamiast monologów samej autorki spotykamy żywe, naturalne, działające postaci, które czynami swemi przemawiają do czytelnika, a następnie w powiastce p. t. *Pani Luiza* (1875) uderza nas z jednej strony obiektywizm autorki, a z drugiej bardzo umiejętne rozskalpelowanie i pogłębienie ducha ludzkiego, co zaświadczyło chlubnie o zmęźnieniu i wyrobieniu się talentu twórczego powieściopisarki i myślicielki. Do utworów, mogących śmiało iść w zawody z pierwszorzędnymi pracami beletrystycznymi w naszej literaturze, należy oprócz kilku drobnych nowelek większa powieść *Meir Ezołowicz, Nad Niemnem, Cham* i wreszcie krótki obrazek o sielankowym pokroju *Pieśń przerwana* (1896), ostatnia dotychczas praca naszej autorki. Pod względem myśli, zacnych tendencyj, pod względem wagi poruszanych zagadnień społecznych każdy utwór Orzeszkowej ma ogromne znaczenie dla nas: można jej zarzucić brak doskonałości w architektonice powieści, atoli należy uchylić czoła przed ogromem myśli i przed ogromem miłości, którą całkowicie na swoje społeczeństwo przelała i dzięki której więcej, niż ktokolwiek inny, poruszyła kwestyj palących i stała się w naszej literaturze olbrzymem, górującym nawet ponad tymi, którzy od natury otrzymali więcej, niż ona, zdolności twórczej. Dając ogółowi przez cały czas swego zawodu pisarskiego pokarm pożywny i zdrowy, nie siejąc nigdy niezgody i nienawiści, a przeciwnie: nawołując nieustannie do pracy wspólnej w imię jednych ideałów, do zgody i miłości bratniej, Orzeszkowa położyła niepożyte zasługi względem swego społeczeństwa, w którego sercu „trwali od miedzi“ wzniosła sobie pomnik.

J. Nitowski.

W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Jest że to marzenie złudne, czy urzeczywistnienie przyszłości możliwej, może już blaskiem jutrzni dobywającej się z łona czasu?

Nad otchłanią w której głębiach, niezliczone męczarnie i winy dręczą ciała i duchy milionów, widzę unoszącą się postać wielką i słodką, mądrą i dobrą, współczującą i czynną. Przemysłnemi i niezmordowanemi rękoma, kosi ona osty zawiści i nienawiści zarastające pola, powoli lecz nieustannie, zasadza na nich oliwne drzewa zgody i pokoju; jedną dłonią kruszy podstawę, na której wznosi się ciecie złoty, drugą tępi, ostrza i zamyka otwory narzędzi morderczych. Z ust jej wychodzą zaklęcia magiczne, przed którymi maleją pychy szatańskie, pierzchają żądze rozpasane i gwałty zwierzęce; promienie padające z jej czoła i oczu oświetlają wszystkie punkty świata, na których Kainowie podnoszą nad Ablami mordercze topory i nagim widokiem tych bratobójczych czynów tak świat przerażają, że uderza się on w pierś z wielkim krzykiem: moja wina!

Postać ta mnoży się, znajduje się wszędzie: u kolebek dzieci, nad głowami pacholąt, u boku mężów, na polach kędy potem oblewają się rolnicy, w zamkniętych ścianach, kędy z tajemnicami wiedzy i zawikłaniami myśli walczą uczeni; jest ona w domu, w szkole, w warsztacie, w pracowni artysty i pisarza, wszystkie trudy podziela, wszystkie myśli rozumie, wszystkim dążeniom pomaga, oprócz tego dążenia, które wiedzie do złotego cielca i do otaczającej go kałuży krwi i błota.

Przemysłną i niezmordowaną jej dłonią kruszony, bałwan buchający żądzą, pychą, gwałtem, krzywdą, chwiać się, do upadku pochylać się zaczyna; w blasku i ciepłe od niej bijącym, krew i błoto wsiąkają w bezdenne czeluście ziemi. Aż powoli, stopniowo, z pół przez nią koszonych i usiewanych, na gruzach tego, co dłoń jej skruszyła, w powodzi roznieconych przez nią światel, wznosi się ołtarz bóstw dobrych i łaskawych, a ludzkość modlitwą i czynem cześć im oddając, wznosi się ku nim, w nich oczyszcza się, uświęca, uszczęśliwia — i zarówno od gnicia w występnych rozkoszach i tryumfach, jak od wicia się w męczarniach krzywd i rozpaczy jest wyratowaną!

Lecz kimże jest ta postać cudowna, która zdeptała węża i zgasła ogień piekielny, obaliła Baała matery i wzniosła na ołtarz Messyasa idei?

Jest to przygotowana przez walczącą kobietę dziewiętnastego wieku, kobieta apostołka i reformatorka, kobieta mędrzec i anioł — wieku dwudziestego!

... Nie marzę. Daleką już odemnie jest zuchwała wiara młodości, w szybkie urzeczywistnianie się dzieł wielkich i trudnych. Wiem, że wiele czasu upłynie i mnóstwo walk wewnętrznych i zewnętrznych stoczonymi być musi — nim kobieta stanie się zdolną do pełnienia olbrzymiego tego zadania, nim je spełni. Ale na jakiegokolwiek przestrzeni czasu i z jakiegokolwiek sumą wysiłen, zadanie to może być przez nią spełnione — w to wierzę. Nie nadaremnie długie

wieki poczytywały ją za wyłączną i najwyższą kapłankę dobra: sposobami zapewne niedostatecznymi, lecz licznymi, kształciły ją do tego kapłaństwa. Z szybk moralności nieustannie przez długie wieki wstawianych w jej duszę, liczne okrucieństwa przynajmniej pozostać musiały i pozostały. Posiada ona za sobą długą tradycję dobroci i czystości, jeżeli nie zupełnie samoistnej, to jednak szczególnie ją obowiązującej. Nie posiada znowu tradycji przelewania krwi bratniej, szerokiego rozsiadania się przy stołach biesiadnych, spychania innych na śmietniska, karmienia aż do przesyty każdej ze swoich żądź i namiętności. Nie ona to stworzyła na ziemi wojnę, dyplomacyę i tortury. Nie ona w tym naszym już wieku ogłosiła się pięści królową świata; nie w jej głowie powstała myśl o samobójstwie ludzkości. We wszystkich tych dziełach przyjmując udział zaledwie pośredni, bynajmniej nie twórczy, nie zaprawiła się do ich wykonywania i łatwiej może zapłonąć ku nim wstrętem, a pożądaniem ku temu, co jest ich przeciwnością. We własnych jej interesach, jako małżonki i matki, spoczywa oddalenie od głów ukochanych siedmiopaszczowej hydry zepsucia.

Świeżo przybyła do przybytku wiedzy, okiem nieuprzedzonym rozejrzeć się po nim może i odkryć wiele jego tajemnic jeszcze niedostrzeżonych, a przedewszystkiem tę główną jego tajemnicę, że przez prawdę droga wieść winna ku dobru, że prawda bez dobra prowadzi ludzkość tylko ku najsmaczniejszym pasztetom i najdoskońszszym maszynom do mordowania bliźnich.

Może kto powie, — że jest niesprawiedliwym i okrutnym obarczać tak olbrzymiem i tak trudnym zadaniem jedną połowę ludzkiego rodu! Ale im wyższy cel u końca drogi, tem więcej rosną siły podróżnika. Wskazywać komuś cel wielki, do osiągnięcia trudny, jest to składać mu najwyższy dowód szacunku, jest to także zapewniać mu jedyne może na ziemi szczęście pewne i wysokie, jakim jest dążenie do wielkiego celu.

Może ktoś jeszcze powie: kobiety są istotami słabymi. Ależ właśnie usiłujemy dowieść świata, że jeśli istotnie barki i pięści nasze słabszymi są niż u tytanów, to jednak w sercach i głowach posiadamy dość siły, aby wespół z tytanami iść na podbój niebios. Dla czegoż te serca i głowy nie miałyby spróbować przynajmniej dokonania tego, czego dokonać nie udało się tytanom? dla czegoż nie miałyby spróbować wyrwania z rąk Ananki bicia z piorunami, zamknięcia raz na zawsze puszek Pandory?...

I jeszcze może ktoś powie: kobiety przez ciąg wieków były istotami pokrzywdzonymi? Czyliż do pokrzywdzonych świata należy składać się w ofierze ku jego zbawieniu? Tak właśnie, do pokrzywdzonych to należy, bo oni to właśnie twarzą wtwarz patrząc niesprawiedliwości, chłosty jej znosząc, największym wstrętem do niej płonąć i oręże do jej zwalczenia najlepiej znać muszą. O pomście za krzywdy doznawane, lub samolubnej pracy dla swego tylko dobra, mowy być nie może. Jesteśmy wszyscy, kobiety i mężczyźni, dziećmi jednej ziemi i jednego słońca, nad którymi jednostajnie wypisane są trzy powszechne i nieśmiertelne wyroki: cierpienie, błąd i śmierć! Biednymi dziećmi, które w imię tego braterstwa potrójnego, a nie mogącego być ani zniszczonym, ani nawet rozluźnionem, winny sobie wzajem przebaczenie, współczucie i współpomoc.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg).

*

*

Bal. Salony gorzeją od światel, muzyka się odzywa tęskna i marząca; strojne kobiety wieńcem opasują salę. Pary wirują w szalonym walcu.

Piękna Kamilla z rozkosznym na ustach uśmiechem, odprowadzona przez tancerza siada obok równie pięknej, ale starszej od siebie damy, w bogatej sukni z lila adamaszku.

— Zaczynam się cieszyć życiem! — szepcze, wachlując się zmęczona. — Żyję, Natalio, i uprawiam się życiem!

— Niebezpieczny to napój... na dnie jest trucizna!

Piękna pani mówi to z powagą, w której tkwi ironia.

— Szczęście jest bezdenne! — wyrzuca Kamilla szybko w odpowiedzi.

— Szczęścia nie ma wcale... to upojenie, mrzonka, to sen rozkoszny, którego końcem rozczarowanie...

— Więc lepiej się nie budzić... ale zasnąć konieczne choć raz w życiu tym snem błogosławnym!

— Koniecznie?... — powtórzyła piękna kobieta. — Ha! to darmo! Każda z nas jak dziecię chwyta za płomień, nie zdając sobie sprawy, że on pali...

— Bo też nie każdy się spali tak łatwo! — zabrzmiał za paniami głos mężki.

— A, Roman! jakże się cieszę, żeś wrócił!

— Stawiłem się na twój rozkaz kuzynko.

— I dobrze zrobiłeś; bez ciebie bal by się nie udał.

— *Vous êtes franche ma chère!*...

— Największa to zaleta mojej kuzynki... Można panią prosić?

Śnieżnej białości ramię spoczęło na ręku Romana; jasne pukle włosów dotykały w wirze walca jego czoła, a oddech szybki, gorący dolał do niego.

— Słyszałem pani rozmowę z Kamillą... — mówił tańcząc, — czemu pani odbierasz iluzję temu dziecku?

— Które pan chcesz przed obcym wpływem zasłonić...

— Jest moją kuzynką.

— A będzie... narzeczoną!...

— Co będzie kiedyś... o tem wiedzieć nie możemy.

Zamilkła.

— Pan jej nie kochasz!... — szepnęła nagle stanowczo.

— Jak pani może wiedzieć?

— Bo sędzę, że raz tylko w życiu można kochać...

— Jeżeli ta miłość była prawdziwą... tak. Jednak, wiesz pani, że są rozmaite odcienia uczuć... sama pani nauczyła mię tego... — mówił obojętnie, ale bardzo uprzejmie.

Zaciężyła mu na ramieniu; oddech jej był szybszy a z czarnych oczu iskry leciały.

— Odprowadź mnie pan na miejsce...

Roman spełnił rozkaz.

Piękna pani rzuciła się na fotel obok Kamilli.

— Rzeczywiście, miałaś rację mówiąc, że bez pana Romana bal by się nie udał! doskonały tancerz, *et un causeur adorable!*

Ruchy pani Natalii, śmiech jej i mowa były nienaturalne, gorączkowe.

— Wszak dziś nie pierwszy raz masz sposobność przekonać się o tem? — zauważyła wesoło Kamilla.

— O tak! Tańczyłam nieraz z panem Romanem dawniej, przed czterema laty... gdyśmy mieszkali w Warszawie... Nigdy nie zapomnę jak doskonale bawiliśmy się wtedy... dzięki twemu kuzynowi—Kamilko!...

— Służę ci, Kamilko!...

Roman wprowadził kuzynkę chcąc przerwać niemłą, pełną aluzji rozmowę pani Natalii.

Została samą. Odmawiała licznym zaproszeniom do tańca, i wzrokiem, w którym—złowrogie paliły się płomienie, gonila Romana tańczącego z Kamillą.

Roman nie odprowadził kuzynki do pani Natalii. Była przerwa w tańcach, więc—przechadzał się z nią po sali.

— Znałaś już dawniej Natalię? — zadała mu pytanie.

— Przed wyjazdem moim zagranicę, bywałem u nich za życia jej męża, — odrzekł obojętnie.

— Śliczna kobieta, jak posąg!

— Nie przeczę. Nic się nie zmieniła od lat kilku; przynajmniej powierzchownie.

— Polubiłyśmy ją obie z mamą; taka sympatyczna i naturalna...

Roman zamilkł, rozmyślając w jaki sposób odsunąć Kamillę od wpływu tej kobiety, który ujemnie mógł na nią podziałać...

— Byłeś w Żarnkach? — zagadnęła go znowu.

— Byłem na obiedzie.

Ten zwrot rozmowy od razu go w dobry humor wprowadził.

— Na obiedzie, z Janiną?

— Tak, panna Janina mnie przyjmowała.

— To zabawne...—zauważyła, choć nie mogła by wytłomaczyć dla czego jej się to zabawne wydało. — Jak tam pusto być musi u nas w zimie!—dodała.

Roman się uśmiechnął... jemu tam pusto nie było!

— I cóż, Janinka? — pytała znowu. — Wiesz? to dziwne, czasem mi za nią tęskno!

— Nie dziwię się... przecie jesteście w przyjaźni... Panna Janina zdrowa, bardzo dobrze wygląda, wypytywała się o ciebie...

— Pocziwa Janinka! doprawdy nie wiem czemu ją mama tu nie wzięła!...

Serdeczny ton jaki Roman schwycił w tych kilku słowach Kamilli, dodał mu odwagi do wypowiedzenia swego zdania.

— Znajduję, że w istocie pannie Janinie krzywdą się dzieje, gdy jest tak usuwaną na plan drugi... mogłabyś Kamilko temu zaradzić...

— Och! z mamą tak trudno!—zawołała.—Ale masz słusność... tak, to prawda... muszę nad tem pomyśleć...

I zamysliła się w istocie, a podczas tego fala rumieńca twarzy jej oblała... czuła biedna, że i do niej uwaga Romana stosować się może... Czyż ona także nie postępowała nieraz z Janiną lekceważąco?...

Odtąd dobra ale słaba istota wzięta została we dwa ognie. Pani Natalia, stała jej przyjaciółką karmiła ją aforyzmami, tłumiając w niedoświadczonej dobre uczucia, a Roman przeciwdziałał temu wpływowi, w delikatny, serdeczny sposób skłaniając jej serce do tego co piękne, szlachetne i wspaniałomyślne...

Jednak, postępując w ten sposób, nie wiedział Roman, że staje do walki z dawnym swoim ideałem. Pani Natalia ze świadomością, z upodobaniem starała się zwrócić Kamillę z drogi, na którą ją Roman serdecznie naprowadzał.

Spotkanie z Romanem po latach tyłu, przywiodło Natalii na pamięć wszystko to co zaszło między nimi, jego miłość gorącą, niepokromioną, wpływ jaki na nią wywierał, i jej własne wybuchy.

Ten człowiek, zimny, obojętny, który ujrawszy ją, tak dawniej ukochaną, po czterech latach niewidzenia, przywitał jak obcą, i od razu zakreślił konwencyonalne granice we wzajemnym stosunku,—jakże był niepodobnym do owego Romana klęczącego u jej stóp w zachwyceniu!

Nie kobiety dotknąć więcej nie może jak upokorzenie jej miłości własnej. Natalii się zdawało, że znieawidziła Romana, i pragnęła mu to

dać uczuć. W tym celu zrażała do niego Kamillę, w której przeczuwała przyszlą jego żonę, a czyniła to w sposób tak sympatyczny, przyjazny, że Kamilla przepadała za nową przyjaciółką.

Hrabina Żarnowiecka była nią zachwycona. Pani Wieluńska rodziła się z hrabianki znakomitego rodu, była bogatą, dystygowaną, *et si grande dame!* jak się matka Kamilli wyrażała.

W końcu karnawału Roman dowiedział się z ust ciotki, że pani Natalia zrobiła jej zaszczyt obietnicą, że ich w tym roku w Żarnkach odwiedzi...

Roman zgrzytnął zębami... ale milczeć musiał! Zła gwiazda, fałszywym swoim blaskiem jak mgłą zaćmiła horyzont, który mu się rozjaśniać począł...

VI.

Przy końcu Marca panie, wróciwszy z miasta do Żarnek, zastały Janinę dziwnie mizerną, jakby chorą. Samotność i rozmyślenia nad położeniem bez wyjścia, źle na nią podziały. Snuła się po domu jak cień, straciła swoją żywość, kolory; pracowała jak zawsze, wypełniała swoje czynności bez zapału, obojętnie, często jakby z wysileniem.

Kamilla wyczerpawszy cały zasób wiadomości ze stolicy i różnych opowiadań o balach i taaletach, zauważyła wreszcie, że ma słuchaczkę bardzo cierpliwą, ale coś nadto obojętną.

— Czy ty nie chora jesteś, Janinko? — zapytała.

— Chora? nie!—zaprzeczyła szybko.

— Wydajesz mi się zmieszana. Roman będąc tu w zimie, mówił żeś doskonale wyglądała.

— Być może, żem się zmieniła,—odrzekła Janina,—ale chorą się nie czuję; pracowałam dużo, uczyłam się... może dlatego zmizerniałam trochę...

Kilka razy jeszcze Kamilla interpelowała Janinę w tym przedmiocie, ale ta ostatnia zbywała tak krótko te zapytania, że w końcu młoda panna pytać przestała. Dała przecie dowód, że ma dobre serce, a kiedy jej zrozumieć nie chcą, nacoż się ma narzucać?

Nudzila się trochę po powrocie z miasta, więc Janina każdego dnia musiała wysłuchać sporo reminiscencyj karnawałowych, do których Kamilla tęskniła.

— Och! gdyby to już raz wyjść zamaż!—wołała kiedyś otwarcie w obec Janiny, dla której tajemnic nie miała,—gdyby to porzucić te nudne Żarnki a zamieszkać w mieście gdzie życie wre naprawdę, gdzie tyle rozrywek...

Przerwała sobie i spojrzała przelotnie na Janinę.

— Nie pytasz mnie o Romana...—rzekła.

— Wiem, że mi powiesz sama... — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Co za obojętność na mój los.

— Kamilko! czy ty wierzysz w to co mówisz?

Głęboki ton pełen szczerości z jakim Janina wypowiedziała te słowa dotknął Kamillę.

— Żartuję! — rzekła ze śmiechem. — Wierzę w twoją przyjaźń, ale jesteś teraz taka jakaś apatyczna, że cię to może w obecnej chwili nie tak obchodzi.

— Obchodzi mnie, choćbym śmiertelnie chora była, zawsze pragnę twego szczęścia...

— Tylko nie z Romanem!

— To już do mnie należy...

— O tak! w tym względzie nie jesteś ani apatyczna ani obojętna! wiem doskonale. Ale... Janinko! czyż ja mogę bawić się w iluzję? *Tamten* już mnie pewnie zapomniał i swoje dziecinne przysięgi... mnie, czas, świat i ludzie wyleczyli z chorobliwego marzenia! Dziś pojmuje życie inaczej...

Janina pochyliła się cała, jakby słowa Kamilli brzemieniem na jej ramionach zaciężyły, ale ani słowem ni ruchem nie wydała się z żalem, jaki podobna mowa w jej sercu wzniciła.

— A jeśli on wierzy w ciebie,—rzekła jak mogła najspokojniej.—Ja nie wiem nic! dawno już wiadomości nie miałam, ale jeśli on wróci... upomni się o swoje prawa? jeśli on naprawdę uwierzył tobie!...

Twarz Kamilli oblała się gorącym rumieńcem; skryła ją w dłonie i po długim przestanku:

— Lepiej żeby tak nie było... — szepnęła. — Nie pragnę tego ani dla niego ani dla siebie... słyszysz? ani dla siebie, ranić serce wspomnieniami... Znam siebie dobrze... w średnim szczęściu żyć bym nie mogła; mnie trzeba dostatków, otoczenia, którego on mi dać nie może... lepiej dla niego i dla mnie... gdy tak zostanie...

Janina nic nie odpowiedziała, nie miała słów na odpowiedź w obec takiego wyznania, i od tej pory stała się jeszcze smutniejszą, bardziej zamysłoną i w sobie zamkniętą... Czy ślęczenie nad książkami, czy rozmyślanie nad przyszłością, która dla niej żadnych widoków nie miała były tego powodem trudno odgadnąć... dość, że po raz pierwszy w życiu, czuła się zniechęconą, prawie chorą.

Kamilla z nudów zajmująca się teraz więcej Janiną, w głowę zachodziła, czemu młoda sierota tak się czegoś zmieniła, a pytała się już nie chciała, bo zauważyła, że Janina niechętnie o sobie mówi, i że jej za powiernicę nie weźmie. Raz, zdawało jej się, że już odgadła.

Wyszły obie na przechadzkę. Dzień był już ciepły kwietniowy, a ponieważ błota było nie wiele, Kamilla zaproponowała, by się udać drogą do wsi. Potrzebowała ruchu, i widoku innego jak ten, który co dnia przed oczami miała. Opowiadała Janinie o Romanie, o jego dziwnym podczas zimy zachowaniu, raz czułem, to znowu obojętnem, gdy nagle z bocznej drożyny ukazał się jakiś młody człowiek bardzo przyzwoicie wyglądający, który im się z wielkiem uszanowaniem uklonił.

Kamilla spojrzała zdziwiona, pytającem okiem na swoją towarzyszkę i zauważyła, że Janina się zarumieniła.

— Kto jest ten młody człowiek? znasz go? — spytała.

— Siostrzeniec panny Olimpii, Władysław Kręcki,—odrzekła Janina obojętnie.

Kamillę to zaciekawiło. Nie dała się obalamucić spokojowi w jaki się Janina obleka; młoda jej imaginacja bujać zaczęła i wytworzyła sobie cały romans.

— Dawno tu jest ten pan Kręcki? — pytała znowu.—Widujesz go często? co tu robi?

Janina się uśmiechnęła.

— Na tyle pytań trudno naraz odpowiedzieć... Pan Kręcki od niedawna tu jest. Przyjechał do ciotki aby w spokoju, zdala od gwaru światowego przygotować się do jakiegoś tam egzaminu... U niej widywałam go czasami.

Zaintrygowana Kamilla nie ustawała w pytaniach, chcąc się coraz coś nowego dowiedzieć, i snując dalej swoje domysły... Janina uśmiechała się tylko z tej ciekawości; dość była przenikliwą aby się domyśleć tego czego jej Kamilla mówić nie chciała i śmiała się w duchu z jej dyplomatycznego postępowania, w celu wydobycia z niej tajemnicy, która nie istniała.

Jednak Kamilla miała na jakiś czas zabawkę, która czyniła, że czas nie tak długim jej się wydawał.

— Czemu nie chodzisz teraz do panny Olimpii?—pytała Janiny w kilka dni po owem spotkaniu.

— Jestem teraz w domu zajęta, jak widzisz,—odrzekła,—nie mam czasu na wizyty.

— Ale jeżeli ci to przyjemność robi...

— Nie większą teraz jak dawniej, a wiesz, że zwykle nie tak często w szkole bywałam. Jak jestem sama w domu, to co innego.

— Jednak... może tam ciebie wyglądają...

Janina się zaśmiała szczerze.

— Co ty sobie wyobrażasz Kamilko!—rzekła.

— Sądzę, że nic niemożliwego... domyślasz się już? a jaka ty skryta teraz jesteś! już ja wiem co ta zmiana w tobie znaczy... serduszek się niepokoi!

Janina oblała się gorącym rumieńcem.

— Mylisz się...—zaprzeczyła.
— Nie chcesz się przyznać?... Och *Jeannette!* jaka ty teraz dla mnie niedobra!
— Ależ Kamilko!... mówię ci, że się mylisz...
— Niedobra jesteś, powtarzam! Cóż by w tem złego było, żeby ci się ten pan Kręcki podobał? bardzo ładny chłopiec, chyba, chyba... że wolisz pana Juliusza!

— Ani jednego ani drugiego,—smutnie odrzekła Janina.—Zamaż isę nie myślę...

— Każda panna tak mówi! *elle se rend précieuse*, ale ja bardzo bym chciała tego dla ciebie!

— Wdzięczną ci jestem za twoje dobre chęci, ale... trudno to będzie, bo ja nie mam ochoty!

Kamilla udała obrażoną, i przez czas dłuższy unikała poufnej z towarzyszką rozmowy.

— To szczęście, — rzekła raz niedbale, — że tego lata Natalia do nas przyjeżdża; będę miała towarzystwo, bo na ciebie już liczyć nie mogę...

— Natalia?—drżącym głosem zapytała Janina, bojąc się swego przeczucia.—Któż to ta Natalia?

— Nie wiesz? Natalia Wieluńska, której fotografię ci pokazywałam. Nadzwyczaj miła kobieta!

Janina jednak wiedziała... Przypatrywała się z uwagą fotografiom pani Natalii przywiezionym przez Kamillę, mówiąc sobie, że to jest owa wybrana Romana... I ona tu przyjeździe. Ogromnie czegoś przykro jej się zrobiło, tak bardzo, że sprawy sobie zdać nie umiała, czemu jej tak ten przyjazd ciężył. Ciężyło jej to od-tąd ciągle brzemieniem; jak kamień zawisła ta wiadomość na niej i trapiła ją nieustannie trwożnym przeczuciem.

Panie pojechały z wizytą w sąsiedztwo, a ona korzystając z ciepłej pory usiadła sobie na słońcu na werandzie, zziębnięta dziwnie, przynębiona bardzo i trawiona smutnymi myślami, które w samotności więcej niż wśród ludzi ją nękały...

Przyjeździe ona i Roman przyjeździe... jakież to męczące będzie wszystko razem! gdyby już raz wydostać się z tych Żarnek, które rodzaj zaczarowanego koła dla niej tworzyły—koła tortur moralnych... Nie wytrzyma tu dłużej!

Książkę, którą wzięła z sobą do czytania opuściła na kolana i zadumana smutnie oczy przymknęła. Taka jakaś dziwnie teraz bezsilna się czuła!...

Któs tam chodził po salonie; przez wpół otwarte drzwi słyszała kroki. Pewnie któryś ze służby z jakimś do niej interesem... tak czegoś leniwą była teraz, że ze wstętem myślała, że jej wstać wypadnie, i zmęczone oczy podniosła na drzwi fatalne, które jej ową nieprzyjemność niosły.

Nagle... we drzwiach stała wysoka dobrze jej znana postać. Głos zamarł jej w piersi, które bezwiednie zacisnęła dłońią.

Roman szybkim krokiem się zbliżył.

— Przeraziłem panią!...—rzekł miękko, bardzo łagodnym głosem.—Czy moje nagłe wejście, czy własna moja, niesymnatyczna pani osoba tego przyczyną?

— Nie spodziewałam się pana...—szepnęła.

Z tych słów Roman domyśleć się musiał, że jego osoba nie była jej tak bardzo niesympatyczną, bo ujął jej rękę i przycisnął ją do ust w długim pocałunku...

— Co pan robisz!...—zawołała prawie przerażona, cofając szybko rękę.

— Dziękuję... że mnie pani nienawidzi,—rzekł dziwnie serdecznie.

Cóż mu mogła odpowiedzieć? milczała. Ale po tym pocałunku, który dotąd czuła na rękę, po tych jego słowach niespodziewanych, w których życiowość dla niej tak jawną była, zrobiło jej się dziwnie błogo na sercu, a błogość ta uwi-doczniła się w rysach, które były jakby opromienione. Biednej sierocie tak brakło życziwego serca i tak ją dziwiło, że on dobry dla niej...

Nie wiedziała sama jak ładną była w tej chwili, z lekkim rumieńcem na twarzy, nadającym jej pozór zdrowia, z uśmiechem rozchylającym małe usteczka i błyszczącymi ciemnymi oczami.

Ale Roman widział to dobrze, i z rozkoszą wpatrywał się w Janinę tak wymownymi oczami, jakby pragnął uczucia, które miał dla niej przelać w jej duszę.

Nie chcąc jednak być bardzo wymownym, milczał także, ale serce mu biło radosnem przeczuciem—że to drugie serce skłaniać się ku niemu zaczyna.

— Ciotka na długo pojechała?—zapytał, żeby coś powiedzieć, bo milczenie dłużej przeciągać się nie mogło, gdyż stałoby się wymowniejszem niż słowa.

— Sądzę, że wkrótce wrócą te panie,—odrzekła.

Na niego dziś przyszła kolej oblać ją zimną wodą... Czar w jakim przez chwilę zostawała, prysnął nagle, a z nim zniknął uśmiech i rumieniec.

— Pan już na dłużej do Żarnek?—zapytała tonem, w którym nie oprócz prostej chęci bawienia gościa nie było.

— Nie zupełnie,—odrzekł.—Przygotowuję się na przyjęcie ojca mego w Wasilcach, a będąc tak blisko, często będę mógł przyjeżdżać.

— Tak? ojciec pana przyjeżdża? jakże pan musi się cieszyć z tego.

— Bardzo. Już rok prawie jak mego ojca nie widziałem, kazał mi jechać, i nie wracać... bez Kamilli.

— A widząc, że jej pan nie przywozi sam przybywa przyspieszyć sprawę...

— Jaka pani domyśla! Chociaż... trochę jest inaczej, mój ojciec już wie, że Kamilla nie może być jego synową, ale wierzyć temu nie chce...

— Pojmuję to wybornie. Starsi ludzie gdy sobie co wymarzą uparcie trzymają się swojej myśli.

— Mam nadzieję, że mój ojciec nie będzie się tak bardzo upierał... ale dość o tem, nie chcę panią dłużej nudzić moimi osobistymi sprawami. Panno Janino! im więcej patrzę na panią, dostrzegam, że się pani bardzo zmienia... gdy byłem tu w zimie inaczej pani wyglądała. Czy pani nie chora?

Wszyscy jej dokuczali tą zmianą... Czuli się rzeczywiście bardzo niezdrową od jakiegoś czasu, coraz więcej traciła siły, i widziała sama, że mizernieje, ale żeby się przyznać do tego? skarżyć się nigdy!

— Zdaje się panu, — rzekła obojętnie.—Ani się zmieniłam, ani chorą nie jestem.

— Błada twarzyczka pani o czem innem mówi... może to choroba na którą nie ma lekarstwa i dlatego pani przyznać się nie chce... może serce chore?...

— Znalazłeś pan nowy sposób, żeby mi dokuczyć...—rzekła zmieszana mocno.

— Dokuczyć?—zaprzeczył żywo,—o, jakże się pani myli! nie rozumiesz pani intencji?

— Nie mogę nawet, bo gdyby na prawdę była to choroba o której pan mówi... nie zwierzałabym się przecie panu...

— Więc nie zaprzecza pani... — wyrzekł na pół smutnie na pół niecierpliwie.

— Och jakże mnie pan męczy!—zawołała prawie ze łzami w głosie.—Gdyby hrabina tu była, nie przemawiał by pan do mnie w ten sposób!...

Roman zacisnął dłońie aż zatrzęszczały.

— Jestem niepoprawny, — szepnął, — znowu panią rozgniewałam!

Ta nagła skrucha do głębi ją wzruszyła. Zrobiła ruch mimowolny, jakby mu chciała rękę podać i zatrzymała się... ale on ten ruch zauważył i pochwycił szybko dłoń, która się już cofała.

— Nie gniewa się pani? — wyrzekł bardzo miękko.—Niech mi pani przebaczy gdy ją mimowolnie urażę... pragnąłbym szczerze być lepszym... nie męczyć pani.

A jednak męczył ją niewypowiedziane w tej chwili! Męką było dla niej patrzeć na tego człowieka, którego oczy siłą magnetyczną na nią działały, męką słyszeć te słowa tak różne od tych, któremi ją dotąd darzył, męką czuć swoją dłoń uwięzioną w jego silnej dłoni... Była jakby w błędzie; coś się z nią działo, co się dzieć nie było powinno, a ona nie umiała temu zaradzić!

On to milczenie pojmował inaczej.

— Nie chcesz mi pani przebaczyć? — mówił rzewnie, — a cóż takiego uczyniłem? Czy mi pani żałuje tych kilku chwil rozmowy? Przecie w tem co mówiłem, nie ma nic obrażającego.

— Nie...—rzekła cicho, mieniąc się na twarzy, bo czuła, że Roman bardzo niewłaściwie, niepotrzebnie, ciśnie jej dłoń w swoich.

— Jednak nie ufasz mi pani! — wyrzekł. — Dawny człowiek pozostał w duszy pani i nie chcesz go ztamtąd wyrugować, chociaż ten dawny, nie istnieje już wcale. Na mą dolę czy niedolę!... zmieniłem się całkiem!... tylko mi pani nie wierzy!

Ostatnie słowa wymówił tonem prośby, i aby ją poprzeć, trzymaną dotąd jej dłoń po raz drugi poniósł do ust z szacunkiem tak wielkim, że gdyby córkę w obec matki w ten sposób całował, ta ostatnia nieby mu zarzucić nie mogła.

Ale Janina, aż się ugięła, i nowym rumieńcem obłana gwałtownie dłoń swoją wyrwała.

— Co pan robi, na Boga!—krzyknęła.

— Zaskarbiam sobie przyjaciółkę...—odrzekł tak poważnym tonem, że obrazić się nie mogła, ale takiego wrażenia doznała, jakby wszystko w około niej wirowało.

— Jeżeli panu moja przyjaźń potrzebna, pan wie dobrze, że możesz ją mieć za darmo...—rzekła z wysileniem.—Zjednywani przyjaciele nie warci...

Nie spojrziała już na Romana, nie chciała widzieć jakie wrażenie jej słowa na nim uczyniły, ale wstała, i powoli szła ku drzwiom salonu.

— Hrabina nie wraca... — rzekła starając się mówić spokojnie.—Każe dla pana przyspieszyć herbatę...

— Jakto! pani odchodzi? panna Janino, moje towarzystwo zacieżyło pani...

Westchnęła ciężko i zatrzymała się.

— Nie...—rzekła z widocznym przymusem.—Lecz...—walczyć już od chwili żeby panu powiedzieć... że nasza rozmowa wydaje mi się całkiem... niestosowną. Czemu jestem dla pana?—nie równą... a na podwładną... ton pana wydaje mi się... nadto swobodny...—Nie mam prawa korzystać z chwilowej życzliwości pana... i do słów jego wagi przywiązywać...

Odeszła, uciekła raczej. Nie zastanawiała się że wtedy, w zimie, gdy przyjechał nie znajdowała, aby postępowanie jego było nie właściwe...—kazała przygotować herbatę, i poszła do swego pokoju, uciekła... Tak! nie ma prawa korzystać, wyzyskiwać życzliwości, która jej się sama narzucała... Do czego to?... na co?...—trzeba mu to dać uczuć, i uciekać z Żarnek, tak samo jak z werandy uciekła... Na szczęście nadjechała hrabina. Janina, która już była zeszła do jadalnej sali zając się herbatą słyszała głośny okrzyk Kamilli i wesołe powitania z Romanem. Czegoś raptem serce jej się żalem ścisnęło. Tam się cieszą, kochają... a ona tak samotna... Ciemno jej się zrobiło... i padła na ziemię zemdlona.

W drugim pokoju usłyszano upadek ciała i brzęk łyżeczki, którą Janina padając wypuściła z bezwładnej dłoni; Kamilla zajrzała do jadalnego pokoju, i na jej okrzyk wbiegł Roman a za nim ciotka.

Roman, równie błady jak zemdlona pośpieszył z pomocą, bo panie, które może nigdy zemdlonego nie widziały, głowy potraciły.

Podniósł ją z ziemi delikatnie, choć mu ręce drżały, i pomału, przyciskając nieprzytomną do głośno bijącego serca, zaniósł ją na wygodną otomanę. Błada twarzyczka tuliła się do jego ramienia, i ułożywszy ją, nie wyjął ręki z pod głowy zemdlonej, tylko lewą ręką przykładał jej do czoła chustkę Kamilli, która wspaniałomyślnie na ten cel umoczyła ją w wodzie.

Hrabina tymczasem na gwałt dzwoniła, zaniepokojona i zniecierpliwiona tym wypadkiem. Zeszła się żeńska służba, zniesiono rozmaite octy i etery, a Roman, monosylabami odpowiadający na liczne pytania i rady, dyrygował ratunkiem z twarzą zawsze bardzo bladą, ale spokojną na pozór.

Długo biedna Janina nie mogła wrócić do przytomności; blisko pół godziny leżała jak nieżywa, aż dobra Kamilla głośno płakać zaczęła... Roman z prawdziwie niewzruszoną cierpliwością

znosił i płacz ten, i głośne gadania ciotki i służących. Patrzył tylko w zamknięte oczy ukochnącej śmiertelnie przerażony...

Nareszcie westchnienie długie, przeciągłe wyszło z piersi zemdlonej, otworzyła oczy, i nieprzytomnie spojrziała na pochylonego nad nią Romana, którego rysy rozjaśniły się nagle, wyrazem ulgi...

Przeniesiono ją wtedy na górę, do jej pokoju, na pół przytomną jeszcze. Kamilla sama pilnowała, żeby biedną Janinę ułożono w łóżku, gdzie wyczerpana i osłabiona wnet zapadła w rodzaj półśnu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Turniej, dramat w 5 aktach, Stanisława Kozłowskiego.
Szarada, drobnostka w 1 akcie Ignacego Grabowskiego.

W samą prawie 424-tą rocznicę urodzin Mikolaja Kopernika, owego najpotężniejszego geniusza epoki, odrodzenia, na scenie Teatru Wielkiego wystawiono dramat, osnuty na tle tej epoki błyszczącej świetlanemi blaski i rzucającej na długie wieki niezem dotąd nieprzyćmione promienie. Autor „Alberta, wójta Krakowskiego“ i „Esterki“, p. Stanisław Kozłowski, zachwycony wspaniałością renesansu, powziął szczęśliwą myśl odtworzenia tego złotego okresu sztuk i literatury i napisał wierszem dramat w 5 aktach, p. t. „Turniej.“ Rzecz pod każdym względem zasługuje na uwagę.

Doba odrodzenia może istotnie natchnąć artystę—pisarza myślą odtworzenia tej chwili, w której cywilizacja nabrała takiego rozmachu, że się już potem nie powstrzymała w swej ewolucji i bieży ku ideałowi ciągle. Pełnia życia odmłodzonej natury ludzkiej, która odpoczęła w ascezie średniowiecznej, posiada tyle energii wewnętrznej i taki ma w sobie urok, że pociąga nas wszystkimi powabami swemi i poi rzeczywistym swem pięknem. Od chwili zjawienia się w r. 1308 „Boskiej komedii“ Dantego z piersi artystów tryska natchnienie we wszystkich kierunkach pracy ducha — i na świat wychodzą utwory pióra, pędzla i dłuta genialne i porwijące.

Epokę tę wzięwszy za tło dramatu, p. Stanisław Kozłowski oparł treść swego dzieła na historycznej podstawie i powołał do życia główne postacie z zamierzchłej przeszłości, plastycznie je w obrazie uwydatniając.

Oto co pisze w tej materii Józef Kremer w swej „Podróży do Włoch“:

„Antonello, znakomity mistrz wenezyjski, udzielił tajemnicy malowania olejnego Dominikowi Veneziano, który mu się stał najmilszym uczniem, a przyjacielem od serca. Więć też Dominik, bawiąc później we Florencji (na turnieju), wzbudził uwagę całego miasta dziwnie pięknym malowaniem swoim. Był kto ucho nadstawił, już słyszał chwałę obcego artysty, bo smak do sztuki, a zamiłowanie w umiejętności było chlebem powszednim tej zacnej stolicy. Przecież w tym czasie żył także we Florencji Andrea del Castagno, będący jednym ze znakomitszych malarzy owego okresu (ur. 1406 um. 1480 r.), lecz za to był człkiem, co zaprzedał duszę demonowi pychy i zazdrości. Więć łasi się Dominikowi, nadskakując mu udaną przyjaźnią a judaszowym uśmiechem, aż się wśliznął w zacne serce mistrza weneckiego. Pewnego razu Dominik, w chwili przyjacielskiego wylania wyjawiał mu sposób olejnego malowania. Mimo tego do wodu szczerej przyjaźni, zawiść miotła sercem Andrzeja del Castagno. On w Dominiku widział tylko niebezpiecznego, bo pełnego talentu rywala; więc był miotany chęcią, by on sam stał się jedynie dziedzicem tajemniczego kunsztu.

Tak od dnia do dnia zły duch silniej a silniej rozpierał się w duszy Andrzeja, aż nakoniec szepnął mu myśl, aby się pozbył współzawodnika, i sam jeden jaśniał we Florencji chwałą, którą dotychczas dzielił z Dominikiem. Pewnego razu, gdy się już dobrze pod noc miało, Dominik bierze lutnię, na której grał po mistrzowsku, co mu niewoliło serce niejednej piękności, i wybierając się na serenadę, zaprasza przyjaciela swego. (Obaj malowali razem w kościele Santa Maria Nuova). Andrzej żałuje, że mu dziś towarzyszyć nie może, zajęty będąc przy rysunkach, wymagających pośpiechu.

„Lecz zaledwo wyszedł Dominik, gdy Castagno, troszkę poczekawszy, okrywa się płaszczem, bierze w garść ogromny kawał ołowiu i cichaczem spieszy za nieszczęśliwym. Znając cel drogi, zasadził się na rogu ulicy. Z daleka, wśród spokojnej nocy, słyszy kroki już zbliżającego się towarzysza i wesołe jego nucenia. Andrzej rzuca się na niego i sztuką ołowiu uderza go w skronie, a powtórzwszy ciosy mordercze, przekonany, że dokonał swego, znowu kocim chyłkiem, krytym szychem niedopatrzony wraca do mieszkania i, zamknawszy się w izbie, siada napowrót do rysunków swoich. Wkrótce potem słycać na schodach łoskot, krzyk, narzekanie i zgiełk,—to słudzy, co spieszą z doniesieniem o okropnym zamordowaniu przyjaciela jego. Castagno, niby przełknięty, w najstraszniejszej rozpacz biegnie ze sługami na miejsce zbrodni. Tam już grono ludzi obstało konającego Dominika. Więć Andrzej, udając rozpacz i kłamiąc okropną boleść, kłeka obok przyjaciela, który niezadługo na rękach własnego mordercy wyzionął ducha. Wnet rozpoczęło się dochodzenie zbrodni, wiele osób uwięziono napróżno. Morderca przepadł bez śladu. Według innej wersji nietylko żądza sławy pełnęła mistrza Andrzeja do zbrodni. W sprawę tę miała być wznieszana kobieta. Domenico miał uwieść żonę Andrzeja, obrażony mąż, po stracie czci i sławy, zamordował uwodziciela w kościele Santa Maria Nuova.“

Mutatis mutandis skorzystał autor „Turnieju“, z tej opowieści zapisanej w legendzie historii sztuki, a tak ją doskonale wyzyskał i tyle z niej wy dobył świetnych efektów, że powstał ztąd obraz o pięknym kolorycie i wysoce zajmującej treści. Te zmiany, które p. Kozłowski poczynił, nadają dziełu jego piętno artystyczne i tworzą z dramatu rzecz wysokiej wartości literackiej.

Pomięszanie wątku historycznego z fantazją podnosi jeszcze bardziej zajęcie, jakie dramat w nas budzi. Mniejsza o to, kto wynalazł sposób malowania olejnego, dość, że Dominik, występujący do turnieju, osobistością swoją w dziele p. Kozłowskiego zaciekawia i w wir wypadków, rozgrywających się w sztuce, porywa.

Zakończenie dramatu, efektowne i sceniczne, t. j. podpiłowanie rusztowania i łoskot padających belek w kościele, gdzie Dominik malował, sprawia wrażenie nader silne i widzowi udziela wzruszeń prawdziwych. Jak tam było w rzeczywistości, wszystko jedno; słusznie też powiada p. Zalewski: „Krytyk nie ma prawa narzucać autorowi swoich pomysłów, wolno mu tylko oceniać to, co autor pod sąd publiczny podaje.“

Spotykają wszakże p. Kozłowskiego ze strony krytyków zarzuty, które tu zaznaczamy. P. Zalewski np. pisze, iż charakter Andrzeja złamany jest na dwa, kiedy niby nowy Almanzor przychodzi błagać o łaskę wroga, który mu zabrał sławę i żonę.

„Zkąd to nagle zerwanie Paoli z Dominikiem, która, usłyszawszy w domu kochanka głos męża, ucieka z pod jego dachu, rzuciwszy mu na pożegnanie, że przecież nie będzie z nim żyła we troje. To wszystko jest nielogiczne i nieprawdziwe; grunt realny, psychologię charakterów, znajomość serca ludzkiego zatracił autor w akcie czwartym dla scenicznego efektu, wspaniałej uczty, zebrania na scenie mas bogato ukostymowanych, dla wprowadzenia muzyki, śpiewów i tańców. Tymczasem i to wrażenie tu chybia, bo publiczność wyczekuje czynu Andrzeja, owej strasznej zemsty, jakiejś dramatycznej katastro-

fy, którą zapowiedziało zakończenie trzeciego aktu. Spotyka ją zawód, który odczuła tak silnie, że nawet piękne i bardzo poetyczne strofy Andrzeja o zadaniu i potędze sztuki przeszły bez wrażenia. Po co lew zmienił się w lisa i knuje podstęp; a przytem deklamuje ze szczerem zapalem odę na cześć sztuki—on, jej kapłan zbeszczeszczony. Ani to pora, ani miejsce po temu! W ręce Andrzeja trzeba było złożyć tę siekiere, która podcięła słupy rusztowania, a wtedy, gdy już padł trupem Dominik, zmiażdżony ohydnie ciężarem walących się desek i pali, gdy zmartwychwstała Paola sama się oskarża o zbrodnię przed podestą, mógł Andrzej zrzucić maskę i zabijając żonę, w której niewinność nie wierzy, stanąć z podniesioną głową, jak tragiczny bohater, przed zlorzęcącym zabójcy ludem, rzucając mu słowa odważnego przyznania do swoich czynów: „Tak, jam to zrobił, jako mściciel swojego honoru!“

Inny znów krytyk, p. E. Lubowski, mówi: „Gdyby miłość Paoli i Dominika postawiona była na pierwszym planie, nie zaś chęć dowiedzenia się sekretu, gdyby Andrzej, kochając sztukę, a więcej jeszcze zazdrosnym będąc pielknie o swoją sławę, kochał w większym stopniu jeszcze swoją żonę, wówczas dwa te motywy, splecione razem, dałyby autorowi sposobność kolizji bardziej ogólnoludzkiej, między trojgiem tych fatalnie ze sobą sprzęgniętych osób. Wówczas miłość Andrzeja do Paoli, walcząca z miłością sławy, której dotąd nie dzielił z nikim, usprawiedliłaby w uczuciu litości widza, ohydny jego, choć całkiem w duchu czasu będący podstęp, mający na celu zgładzenie podwójnego rywala. Lecz Andrzej z chwilą dowiedzenia się o ucieczce Paoli, gardzi nią nie z ową palącą goryczą bólu, ale raczej z goryczą poniżonego w turnieju artystycznym. Zdaje mi się też, że gdyby kochał gorąco Paolę, jak się z razu wydawać mogło, wtedy poznalibyśmy lepiej i uczucie Dominika dla Paoli, które widzimy tylko w jednej zaledwo scenie, a w ogóle słyszymy o niem tylko z ust innych. Nie uniewinnia wiarołomstwa Paoli to, że ją do tego popycha matka Andrzeja i on sam w pewnej mierze tłomaczy, zwłaszcza, że ona sama się broni, nie chcąc pozować w pracowni Dominika.“

Jest w tych zarzutach dosyć słuszności, choć z drugiej strony, autor, chcąc być wiernym malarzem epoki, nie mógł być zanadto czułym na względy etyczne i moralne i musiał wypadki odtwarzać w całej konsekwencji, niejednokrotnie dla nas brutalnej. Czasy, których obyczaje znajdują historyografą w osobie Bokacyusza, nie mogą się poszczycić zmysłem moralnym i czystym.

Bohaterowie też „Turnieju“, nie odznaczają się wyniosłością charakterów i ulegają ciągle niskim instynktom namiętności. Pomysł wykradzenia tajemnicy Dominikowi, rodzi się w głowie matki Andrzeja; i matka ta nie waha się namawiać synowej do kroku niegodnego uczciwej kobiety. Wzdryga się więc na to cała istota Paoli, bo w głębi serca kocha już Dominika i nie chce uleść pokusie.

Dopiero rozkaz męża skłania ją do tego niezaszczytnego przedsięwzięcia. Na nic się wszakże nie zdaje ów wybieg, Marko tajemnicy nie wykrał, ale w zamian Dominik posiadał serce Paoli, Andrzej zaś mści się nad rywalem.

A wszystko to pod ręką autora rozwija się w akcji efektownie, pięknie i malowniczo; zwłaszcza trzy pierwsze akty ani na chwilę nie tracą dramatycznego nastroju; akt czwarty, dekoracyjnie bardzo ładny, słabnie w wyrazie dramatycznym,—w piątym znów akcji ekspesya nabiera mocy choć już do pierwotnej potęgi się nie wznosi.

Tak więc p. Kozłowski dał nam utwór wyższej miary artystycznej, świadczący o wzroście talentu młodego autora. „Turniej“ przemówił też do publiczności warszawskiej w sposób nader przekonujący, gdyż za każdym razem sala Teatru Wielkiego jest przepelniona tłumami widzów i rozbrzmiewa hucznymi, oklaskami.

Należy się też gorąco pochwalić artystom i reżyserji: artyści grają znakomicie, a reżyserja zrobiła wszystko, aby „Turniej“ miał świe-

tną wystawę. I złożyła się ztąd całość przepyszna.

P. Leszczyński tworzy mistrzowski portret Andrzeja; znakomity artysta gra w wielkim stylu, potężnie i wstrząsająco. P. Lüdowa, jako Paola, miała w grze wytworność i subtelną wysoce artystyczną, ślicznie przytem w malowniczych wyglądając kostiumach. Wysoce dramatyczne były: p. Rakiewiczowa w roli matki, oraz p. Barszczewska. Na pierwszym przedstawieniu „Turnieju,” rolę Dominika grał p. Nowicki; następnie, kiedy ten artysta zachorował, zajął jego miejsce p. Ładnowski, który stworzył wyborną pod każdym względem kreację. Świetny jest p. Roland jako Marko; młody ten artysta kroczy śmiało ku wyżynom sztuki aktorskiej i zdobywa zawsze niepospolite powodzenie.

Zbiorowe sceny są wykonywane prawdziwie po meiningensku; tłumy poruszają się, żyją i wielkie przez to na widzu wywierają wrażenie.

Przed kilku dniami na scenie teatru Rozmaitości wystawiono nową jednoaktówkę, p. t. „Szarada,” oryginalnie napisaną przez p. Ignacego Grabowskiego. W drobnostce tej młody, początkujący autor złożył dowód rzeczywistego talentu. Pomysł rozwiązania szarady za pomocą akcji przeprowadzić się udało p. Grabowskiego wcale zręcznie i dowcipnie. Publiczność wywołaniem autora zmanifestowała swoje dobre względem niego i zachęcające do dalszej pracy usposobienie.

A. Dobrowolski.

Jedyny cień

SZKIC

przez

Marcelego Strzemiełczyka.

(Dokończenie).

Irena objęła przyjaciółkę ramieniem. — Jadwiniu! — zawołała nagle z przestrachem, wpatrując się w nią uważnie, — wiesz? ty masz kilka siwych włosów na skroniach! Więc to tak wygląda szczęście; twoje zaspokojone pragnienia?...

— Czyś ty go kiedy kochała jego, mego męża, Ireno? powiedz prawdę, — rzekła dziwnym głosem Jadwiga patrząc prosto w oczy towarzyszyki lat dziecinnych.

Ta ostatnia podniosła głowę szybkim ruchem z ramienia Jadwigi, oczy jej zabłyły.

— Co ci się dziś stało? Jesteś w dziwnym usposobieniu, Jadziu. Czy ja wiem sama? To tak dawno! Co ci po tem, zresztą? A gdybym ci powiedziała żeśmy się bardzo lubili oboje, że między nami może i zaczynało się coś dziać... Gdyś ty w grę weszła, ty, tak poważnie biorąca wszystko, wydałaś mi się zapewne stokroć powabniejsza od takiego froufrou jak ja... Dla mnie zawsze był on za poważny, nierówny — była to dla mnie prawdziwa praca rozruszać go, wykrzesać iskry z tego zimnego krzemienia... Z początku, wyznając, byłam trochę zazdrosną, ale widząc twe uczucie tak potężne, twe walki, twe szlachetne skrupuły, powiedziałam sobie: To nie dla mnie, za tragiczni jesteście oboje! Pamiętam naszą rywalizację o Zbigniewa, tyś zwyciężyła! ja zaś: j'en ai pris gaiement mon parti, tak samo jakbym była umiała pokochać go całą duszą wesoło, gdyby był mnie wybrał. Z dwóch wdów młodych wołał ciebie. Co zaszło między wami potem, o tem mi nigdy wyraźnie nie wspominałaś, przeczuwam tylko, żeś cierpiała — sumienie mam czyste i śmiało mogę powiedzieć że w przyjacielnicy byłam lojalną, nigdy się nie starałam ci go odebrać. Wiesz zresztą, że wyjeżdżałam wtedy zagranicę, nie było mnie z pół roku w kraju, wróciwszy zastałam cię już mężatką po raz drugi.

Bądź spokojna nigdy mi obraz twego męża nie zakłócał spokoju. Co tobie?

Jadwiga zaśmiała się zgrzytliwym, przykrym śmiechem. Irena pobladła. Wszystka krew uciekła z jej twarzy. Z szeroko otwartymi oczami przerażona patrzyła na nią.

— Co to wszystko znaczy Jadwiniu? — zaczęła. — Twój smutek, ten dziwny śmiech... Teraz oczy płoną ci jak węgle... Wytłomacz że mi, Zbigniew może...

— Ja już nie kocham Zbigniewa, Ireno. rzekła Jadwiga cichym, wyraźnym głosem.

— Co się stało? — wyjąkała Irena.

Czy ja śnię?

— Nic się nie stało, nie bądź że dramatyczną kochanie, tylko to, że już go nie kocham. Przyłożyła rękę do serca, oddychając głęboko. O jak to dobrze, że to już wiesz... Musiałam to wypowiedzieć, tak mi życie obrzydło...

— Nie kochasz twego męża? Dlaczego? — Irena cisnęła gorączkową rękę przyjaciółki.

— Bom go zanadto kochała przed tem, przeciągnął strunę, i pękła. Przeraża cię to? Mnie stokroć więcej. — W mojem sercu takie pustki... przez niego... Dziś on jest mym niewolnikiem prawie, role się zmieniły, a ja patrząc na to niedgdyś tak ukochane oblicze, na te oczy co mi były słońcem, a dziś z taką miłością wpatrując się we mnie, nie mogę uwierzyć, że to ten sam Zbigniew, którego głos, — uścisk ręki dreszczem przejmował mnie kiedyś... Za wielką niedolą moralną pognebia w końcu, powiedział twój Bourget, a ten człowiek karmił mnie tak długo niepewnością i goryczą... Znasz go równie dawno jak ja, Iruś, tego szczególnego człowieka, to uosobienie chwiejności, pełnego kontrastów, nieujętego jak cień... Chwilami miękki, tklivy to znów zimny, cyniczny, aż do brutalności. — Co za przeskok w jego pojęciach i uczuciach, pamiętasz? Zawsze cię przerażał prawie i zadziwiał, mnie zaś porывał swem dziwactwem. — Dziś ponury, zamknięty w sobie, znudzony, jutro skrzęcy dowcipem, werwą, taki młody mimo swych lat 45-ciu, naiwny jak chłopczyk 15 letni... na mnie sprawił nie zwykle wrażenie, które starał się potęgować, jeszcze... zawsze, przedewszystkiem, i nadewszystko: egoista!... Bawił się mojem sercem, jak swawolny malec bezbronny owadem, obrywając mu skrzydełka i kłując szpilkami. Słyszałaś że miał po za sobą jakiś wielki zawód sercowy, nauczył się nie ufać kobietom, i ja, to miałam odpokutować za jego rozczarowania... Gdy sobie wspomnę jego ironiczny uśmiech, który zdawał się mówić: wiem, że mnie kochasz, cierp, męcz się, minęły czasy gdy w to i ja wierzył... i wiedząc o swej demonicznej nademną władzy, gdy mu się żal mnie robiło, nazajutrz potulny, pokorny prawie, przeproszał mnie... ja zaś z taką rozkoszą przebaczałam wszystko... kochałam go bez pamięci... Odetchnęła głęboko, cisnąc skronie rękami. — Wiesz, Iruś, są natury przez zbieg różnych danych doczesnych i psychicznych przeznaczone na niedolę przed swem jeszcze urodzeniem... ja do nich należę z moją płonącą głową i sercem tak kiedyś gorącym, nieopatrznym... takim na świecie źle i nieswojo, wiecznie za czemś gonioną, za cudną marą wyobraźni, a jeśli osiągną cel upragniony, wtedy to co miało być najwyższemi szczęściem, zmienia się dla nich w truciznę i popiół, jak owoce Martwego morza... Tak i zemną się stało...

— Biedny Zbigniew! rzekła cichym głosem Irena, Mój Boże!

— Biedny Zbigniew? — powtórzyła z gorzką ironią Jadwiga — a ja? Nie bój się, on nie będzie biednym, gdyż nigdy się o tem nie dowie. Zadaniem całego mego życia będzie, żeby wierzył że tak jest kochanym jak mnie dziś kocha — o, bo Zbigniew ubóstwia dziś swą żonę! ha, ha, co to za tryumf dla mnie... Bądź spokojną, jemu będzie zawsze dobrze, dla mnie tylko jedynie zawsze gorycz, ból i straszna komedia... O, po mistrzowsku staram się grać rolę żony kochającej... podobno mi się to udaje, gdyż świat ma mnie, jak mówisz sama, za wzorową małżonkę, Zbigniew jest szczęśliwy, tu, tylko, w sercu zamyka się wszystko i trawi mnie powoli... Chwi-

lami mówi mi: „Zmieniono mi moją Jadwigę, jesteś zimniejszą, niż sądziłem ty biała damo, ty westalko wyniosła! Ale stokroć bardziej kocham cię jeszcze taką... ty mój porcie bezpieczny, mój wypoczynku... Wtedy mam uczucie, jakby kto mi szarpał serce na strzępy... uśmiecham się, opieram głowę na jego ramieniu, i tak czuła tworzymy, tak zakochaną w sobie parę... aż miło... Są momenta znowu gdzie mi go żal... bardzo, tego tak ślepego psychologa... ach, tak żal... Czasem w nocy wstaję cichutko, widząc smugę światła przeciskającą się przez drzwi do mego sypialnego pokoju z jego pracowni... On tam pracuje, z myślą o swej żonie... niepostrzeżona stoję cichutko w progu i patrząc na te drogą niegdys głowę, schyloną przy lampie nad manuskryptami, rwie mi się dusza... chciałabym lecieć i rzucić mu się na szyję, i okrywać pocałunkami to czoło wyniosłe, te ogniste oczy i... przebaczyć wszystko! coś mnie wstrzymuje... hydra przeszłości podnosi ohydny swą głowę i woła wielkim głosem: Ten człowiek deptał po twych skarbach, naiwna entuzjastko, ten człowiek łamał ci serce, zaturwał pogodę, spokój... — czarne myśli rozsadzają mi czaszkę... stoję, patrząc i wracam cicho — do siebie... Schyliła głowę zmęczoną.

— Dawniej, dawniej, — podjęła znowu, a oczy jej zielonawe, przybrały wyraz namiętnego rozmarzenia, — bliskość jego elektryzowała mnie, dziś gorące jego uściski, serdeczne słowa, pieką mnie żelazem rozpalonem upokarzają, palą... ja go już nie kocham... Czemu kobiety nie umieją zapominać, choć umieją przebaczać? Z moją krańcową naturą nie pojmuję pół — uczuć pół — cieni, i zdaje mi się, że nigdy, nieczem, nie zapełni się ta przepaść między nami... I on tego nie rozumie i nie przypuszcza co się dzieje w duszy najbliższej dla niego istoty!... Jacy mężczyźni są naiwni!... — Gdy czuję chwilami, że mi źle bardzo, że mogę oszaleć, tak mi biedna moja głowa dolega, i płaczą się pojęcia, gdy mam chęć jęczeć z bólu i uderzać głową o ściany, wtedy... rzucam się na klęcznik mej matki i usiłuję się modlić i prosić Boga o siły do wytrwania... Ale czuję po długiej chwili milczenia, że przeciw z tej woli Boga ja cierpię i za jego zarządzaniem i że nędza mego serca to mój los na ziemi... a moi ukochani bliscy wszyscy w grobie... Umilkła na chwilę. — Łono jej falowało pośpiesznie, usta drżały... tak piękną była w swem uniesieniu rozżalenia i bólu — że Irena nie spuszczała wzroku z jej bladej twarzy.

— To jego wina! — zawołała Jadwiga — po co budził co już umierało? Zabita na duszy, zbolała, wyjechałam stąd jak wiesz chcąc zapomnieć, o tej strasznej rozmowie, w której do reszty wycierpałam cierpliwość i do ostatnich krańców posunął swój despotyzm. Z jakim okrucieństwem rzekł mi wtedy: Nie myślę żenić się nigdy, co mi po tem? zapomnijmy o sobie... lub też jeśli pałasz dla mnie bezgraniczną miłością — daj tego dowód? Jedź ze mną do Włoch... W tej chwili człowiek ten umarł dla mnie — zdruzgotał moje bóstwo. Odchorowałam to rozstanie nasze, szalona! Myślałam o śmierci — jakby mężczyźni byli wariaci tego... byli wariaci choć by lży jednej wylanej z oczu kochającej kobiety. — Długo wrzała we mnie gorycz, w końcu pamięć matki mojej uratowała mnie. — Tygodnie mijały — zdawało mi się, że zaczynam zapominać, dobry to znak gdy kobieta zaczyna pogardzać, to znaczy że i kochać przestaje... wtedy on wysłał do mnie ten list! — list ten był jego wyrokiem! „Kocham cię, pisał, zawsze cię kochałem, od pierwszej chwili poznania, jesteś uosobieniem dobra i kobiecości, daruj i bądź moją na zawsze!...”

— Na razie, o Iruś droga, ty bo rozumiesz przecie, prawda? — zdawało mi się, że się niebo przedemną otwiera... on, Zbigniew, składał u mych stóp swe nazwisko, wolność, miłość... wszystko! Co uczułam wtedy! Któraż kobieta by się oparła? Czy mu się żal zrobiło, czy to była próba mej stałości uczuć — może pomyślał że taką miłość nie codziennie się spotyka — zapomniałam o wszystkim i zostałam jego żoną.

Miałam chwile nadziemskiej rozkoszy z początku., We Włoszech, podczas naszej poślubnej podróży nie zazdrościłam aniłom w niebie! Zbigniew patrzył w moje oczy... Co mi po Adryatyku?—mówił, tonę w tych przejrzystych głębinach... Przeżyliśmy kilka tygodni szalonych, niedorzecznie szczęśliwych! Czemu wtedy nie umarłam? Potem, potem, nastąpiło przebudzenie, reakcja, jak zwykle, upojenie ziemskie ostygło we mnie i zwolna, sama nie wiem kiedy, odżyły dawne bóle ducha i żale.—Już to nie był ten sam Zbigniew...—Urwała, wstała z miejsca i siadłszy przy fortepianie zagrała pierwsze pasaże barkaroli.—Nie, nie mogę!—zawołała.—Wstała znów i zaczęła gorączkowo przechadzać się po salonie.

Irena opasała wyniosłą jej kibić swemi drobniemi rączkami.—Jadwiniu! — zawołała, wiele z twej bolesnej opowieści jest dla mnie zagadką i greczyzną niezrozumiałą wiele słów twych niedomówionych, każą mi się domyslać tylko, że mąż twój skrzywdził cię bardzo musiał wtedy...—Jabym poprostu przebaczyła wszystko—lecz ty mówisz, dziecko, że ty go nie kochasz? Kochasz go zawsze... Łudzisz się: I żal i nienawiść są także twoją daleką—miłością...

Jadwiga potrząsnęła głową.—Nie wiem, rzekła cicho, jeśli to miłość zawsze, to jakże ona okaleczała, nędzna, zbiedzona ta miłość! Nic się nie wraca, umarli nie wracają, a on ją zabił... tę moją miłość, promienną. On to dziś kocha mnie, tak jak ja go kochałam, mówi mi to jego każde spojrzenie, każdy uśmiech... Jak mnie wyczerpuje ta walka! Co za zagadką jest serce kobiety... Wiesz,—pochwyciła mówiąc rękę Ireny,—czasem myślę, że może ja was rozłączyłam i że może bylibyście we dwoje tak poprostu szczęśliwi! Płaczesz?—Irena ukryła twarz w dłoniach.—Nie, Jadziu, ja go nigdy nie kochałam, wiesz dobrze, tylko mi was żal i strach tej chwili w której on przejrzeć może...

— Ta chwila, powtarzam ci, nie nadejdzie nigdy, Iruś... Nawet...

— Czekaj, cicho, zdaje mi się, że Jania czegoś krzyknęła przez sen, przepraszam cię, wracam zaraz, przerwała Irena, wybiegając szybko z salonu.

— Szczęśliwa! — szepnęła Jadwiga do siebie patrząc zazdrośnie za młodą matką. Szczęśliwa! taka mała Jania byłaby może ocaleniem...

Irena wróciła po chwili.—Nic jej nie jest, przysniło jej się coś tylko, utuliłam ją napowrót, spi dalej. Moja droga Jadwiniu, zawołała z uczuciem prostego, kochającego serca, jak mi żal ciebie!

— Tak, wiem Ireno, tyś dobra, zawsze mnie kochałaś—to też dziś, gdy uczułam się tak samą, biedną wśród mych pustych ścian po odjeździe Zbigniewa—żegnał mnie tak czule!—błądziłam jak duch pokutujący po mojem mieszkaniu... zatrzymałam się w jego gabinecie, chcąc ułożyć papiery. Iruś droga! Nad biurkiem jego mój portret patrzył na mnie tak smutnymi, dziwnymi oczyma...

Złęklam się tych oczu i... przyjechałam tu do ciebie, wierna moja Iruś...—Irena tuliła przyjaciółkę w objęciach... w oczach jej błyszczały dwie wielkie łzy i potoczyły się zwolna po twarzy. Zrenice Jadwigi były suche. Obie kobiety trzymały się w serdecznym uścisku. Na świecie wzmogła się znowu śnieżna zawieja. Jakby jęki słyhać było w powietrzu, jakby pokutujących dusz skargi. A w sercu jednej z kobiet dzwięczała głucha, wielka skarga... A w salonie zalegało milczenie.

— Daruj, Iruś, rzekła pierwsza Jadwiga, uwalniając się łagodnie z objęć przyjaciółki—zapomnij, niech ci się zdaje, że to wszystko było snem, jak twej Jani malenkij... Zepsułam ci wieczór

doprawdy, wstyd mi tego niewstrzymanego wybuchu, ale, widzisz, tak mi ciężko czasem, a ty jedna, ty tylko, możesz mnie zrozumieć i... uniewinnić... Nie będziemy nigdy już o tem mówili—już przeszło, już jestem spokojna, patrz, już się nawet uśmiecham po dawnemu — Jadwiga przystąpiła do lustra i spokojną ręką poprawiała lekko potargane włosy. Kąciki jej ust drżały jeszcze trochę, oczy pały niedzwoim blaskiem.

— Zostawmy moje złudzenia i kłęski... przepaść czasu niechaj je chłonie... Zadzwoń żeby podano herbatę. Ładną masz nową agawę... Widziałas szal Podkowińskiego? Czytałaś ostatnią powieść Gomulickiego?...

KONIEC.

Z bieżącej chwili.

— „Praw. Wiest.“ ogłasza nominację prezydenta m. Odessy Ligina na kuratora Warszawskiego okręgu naukowego. Nowy kurator przybyć ma do Warszawy w marcu.

— Na odbyć się mającym w marcu zjeździe kolejowym rozstrzygnięta ma być, jak donoszą pisma petersburskie kwestya dotycząca zaprowadzenia w pociągach osobowych t. zw. placart (miejsc numerowanych).

— Z powodu licznych nadużyć praktykowanych na kolejach z biletami abonamentowymi i powrotnymi departament kolejowy ma zamiar znieść te udogodnienia na liniach kolejowych, przytykających do Warszawy.

— Na tegorocznej sesji sejmu galicyjskiego powzięta została uchwała wielkiej doniosłości. Na wniosek marszałka Stanisława hr. Badeniego uchwalili sejm, aby odnowiony staraniem kraju zamek na Wawelu przeznaczony jako rezydencję monarszą. Wniosek ten powzięty został na uczczenie 50 letnich rządów obecnego cesarza. Wojska, kwatrujące obecnie na zamku przeniesione być mają do kószar zbudowanych kosztem kraju, a wszystkie budynki późniejsze mają być usunięte. Cesarz Franciszek Józef przesłał na wieść o tej uchwale telegram z podziękowaniem na ręce Stanisława hr. Badeniego.

— W marcu b. r. przypada setna rocznica urodzin znakomitego powieściopisarza i dramaturga Józefa Korzeniowskiego. Pisma warszawskie nawołują by dzień 19 marca święcili sceny polskie uroczystie.

— Mistrz Barcewicz wyjechał w tych dniach w towarzystwie prof. L. Ursteina na szereg koncertów w Cesarstwie. Oprócz zapowiedzianego koncertu w Kijowie projektowane są popisy w Żytomierzu i Kownie.

— W Wiedniu zmarł znany artysta nadwornego teatru Fryderyk Mitterwurzer.

— Organ cyklistów tutejszych porusza w ostatnim numerze myśl urządzenia w Warszawie wystawy poświęconej wyłącznie sportowi cyklowemu. Projektowana wystawa odbyłaby się w lokalu towarzystwa cyklistów.

— Liczny zastęp polskich gwiazd operowych powiększył się znowu, o jedną. Jest nią lwowianka p. Anna Floriani Zbierzechowska, która według sprawozdań dzienników genueńskich, śpiewa z niebywałym powodzeniem w Chiavari na Rivierze.

— W d. 18 b. m. zmarł w Warszawie ś. p. Józef Waśniewski po krótkiej, lecz ciężkiej choro-

bie. Nazwisko młodego literata znane było bardzo dobrze czytającej publiczności. Prace swoje, głównie utwory poetyckie zamieszczał we wszystkich niemal pismach warszawskich, które tracią w nim pracownika sumiennego i utalentowanego. Uprawiał również z powodzeniem niwę humorystyczną, a liczne utwory jego zamieszczone w *Kolcach*, *Musze* i *Kuryerze Świątecznym* pod pseudonimem Dudusia, zjednały mu sympatyę czytelnika. Myliłby się jednak, kto by mniemał, że zmarły brał życie ludzkie tylko z wesołej strony. W wydanym p. t. „Bajki i fraszki Dudusia“ zbiorze utworów poetyckich przebija się obok rzeczywistego talentu i daru obserwacyjnego wielki zasób szczerego i głębokiego uczucia. Bajki te zawierają wprawdzie dawno już znane prawdy, podane jednak w formie tak chwytającej za serce, że po przeczytaniu każdej z nich doznajemy istotnej przyjemności. Bystry obserwator, nie zdejmował dłoni z bijącego pulsu życia, to też każdy uchwycony przezeń objaw tego życia, miał w nim doskonałego i wiernego tłumacza. Zmarły napisał również kilka powiastek dla ludu, z których jedna odznaczona została na konkursie „Gazety Świątecznej“ w r. 1886. Żył lat 38.

MYŚLI.

Dom rozdzielony sam w sobie—zginąć musi.
Pismo św.

Małżeństwo jest dążeniem do doskonałości.
Hagen.

Kobieta jest uosobieniem sumieniem mężczyzny.
Prudhon.

Kto pogardza kobietą, gardzi matką swoją.
Księgi Vedy.

Kobieta jest duszą ludzkości.
Tamże.

Raj na ziemi znajduje się jedynie w księgach mądrości, dziełach sztuki i w sercu kobiety.
Przysłowie arabskie.

Szczęście małżeńskie niekiedy zakłóca wyraz źle użyty.
Carmen Sylva.

Nigdy zły mąż nie był człowiekiem szczęśliwym.
William Cobbet.

Kobieta w gospodarstwie jest duchem życia lub zniszczenia.
Zbiór przysł. G. Mennier.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 3 powieści p. t. *Taqisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Z dumań zimowych, przez Mieczysława Głińskiego.—**Eliza Orzeszkowa**, przez J. Nitowskiego (dokończenie).—**W kwestyi równouprawnienia kobiet**, przez Elizę Orzeszkową (dalszy ciąg).—**Na łasce**. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—**Przegląd dramatyczny**, przez A. Dobrowolskiego.—**Jedyny cień**, szkic, przez Marcelego Strzemięńczyka (dokończenie).—**Z bieżącej chwili**.—**Myśli**.

Dodatek obejmuje: *Taqisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 3. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem.—**Sekreta gospodarskie**.—**Dyspozycje obiadu**.